

HONORÉ DE BALZAC

KURATELA

Honoré de Balzac

Kuratela

«Public Domain»

de Balzac H.

Kuratela / H. de Balzac — «Public Domain»,

Nikt tak nie znał kobiet jak Honoriusz Balzac, w którego życiu przedstawicielki płci pięknej odgrywały bardzo ważną rolę. Są one (dokładnie — kobiety po trzydziestym roku życia, kobiety dojrzałe) bohaterkami wielu powieści tego autora, stąd określa się ich wiek — balzakowskim. I w tej powieści jedną z bohaterek jest kobieta, markiza d'Espard, która zgłasza się do sędziego pierwszej instancji przy trybunale paryskim, Pipinota, z pewnym problemem: pragnie ubezwłasnowolnić swojego męża, z którym żyje w separacji, i ustanowić nad nim kuratelę. Pipinot nieufa markizie i postanawia przeprowadzić w tej sprawie własne śledztwo. Powieść ta należy do Komedii ludzkiej i wchodzi w skład cyklu Sceny z życia paryskiego.

© de Balzac H.

© Public Domain

Содержание

| | |
|-----------------------------------|----|
| Od tłumacza | 5 |
| Kuratela | 7 |
| Конец ознакомительного фрагмента. | 15 |

Honoré de Balzac

Kuratela

Od tłumacza¹

Drobniejsze opowiadania Balzaka są dla wiernych czytelników *Komedii ludzkiej* bardzo cenne. Tworzą one niby wiązania między członami tego olbrzymiego cyklu. Niejedna postać, naznaczana epizodycznie w której z wielkich powieści, zyskuje w mniejszym utworze i swoją monografię, np. ów sędzia Popinot, tak dobrze znany czytelnikom *Cezara Birotteau*, a którego odnajdą w *Kurateli*. Figury Balzaka żyją tak pełnym życiem, że wydają się nam niemal rzeczywiste; toteż wszystko, co przynosi nowe oświecenie ich postępów i pobudek, chłonimy tak, jakbyśmy się dowiedzieli rewelacyjnej tajemnicy o bliskich znajomych. I tak, bohaterka pierwszego z tych opowiadań, pani d'Espard, występuje w wielu powieściach Balzaka, zawsze na dalszym planie. Znamy tę wielką damę, zręczną, zimną, wyrachowaną, złą, lawirującą w paryskim świecie i dokazującą cudów ekwilibrystyki, aby w dość trudnym położeniu utrzymać swoje stanowisko. Słyszeliśmy nieraz o jakiejś kompromitującej historii w jej życiu, o jakimś procesie z mężem, który skończył się jej zawstydzeniem, ale nie znaleźliśmy bliżej szczegółów sprawy. Tutaj dowiadujemy się wszystkiego, poznajemy niezaszczytne sekrety tej świetnej egzystencji.

Zarazem, w takich pomniejszych opowiadaniach znajdujemy nieraz cenny komentarz do idei Balzaka. Oryginalna figura margrabiego d'Espard jest ilustracją jego socjalnych poglądów. Widzimy, że jeżeli Balzac, ten pisarz tak **antydemokratyczny** w swoich doktrynach, rad by oprzeć ustrój społeczny na przywileju wybranych, stawia bądź co bądź tym uprzywilejowanym wysokie żądania moralne. I to spotkanie się dwóch nieskazitelnych ludzi, plebejusza i arystokraty, wielkiego pana i sędziego, ma swoją wymowę.

Kuratela jest jednym z nielicznych opowiadań Balzaka, gdzie zaci ludzie są w większości. Zazwyczaj w jego powieściach więcej jest cieni niż światła; przewaga jest po stronie łajdaków. Można też powiedzieć, że ciemne figury u Balzaka mają nieskończenie więcej plastyki, wzerają się w pamięć, gdy jego postacie dodatnie – nieraz przeschłachetnione – zanadto trącą abstrakcją. Ale to jest dość powszechny los pisarzy. Zauważono, że sam Dante, niezrównany malarz piekła, załamał się na niebie...

Mimo to, Balzac bardzo był czuły na zarzuty, jakie mu robiono, że umie malować tylko zepsucie i zbrodnię. Mamy ciekawy dokument w tej mierze, mianowicie przedmowę jego do drugiego wydania *Ojca Goriot*. Balzac rozprawia się tam ironicznie z pretensjami do niego, że przeczerwia kobiety, że nie dość oddaje hołdu cnotcie. Drwi z obłudy, oburzającej się, gdy powieściopisarz maluje to, co widzi dokoła. Ale Balzac nie poprzestaje na tym: podejmuje w owej przedmowie dość zabawny arytmetyczny dowód, że „cnota” – nawet ilościowo – przeważa u niego występki.

Otóż, kryteria, jakie przyjmuje dla określenia cnoty, są bardzo charakterystyczne. Nieraz w ostatnich czasach – w dobie dzisiejszego rewizjonizmu obyczajowego – czyniono uwagę, jak bardzo, pod wpływem **antyfizycznej** koncepcji życia, wyrodziło się znaczenie „cnoty”. Szczególnie w zastosowaniu do kobiety, **cnota, moralność** stały się wręcz synonimem wstrzemięźliwości płciowej. Kobieta może być zbiorem wszystkich przywar i grzechów; jeżeli uparcie odmawia swego ciała lub też nie ma sposobności go używać, jest *cnotliwa*. Balzac w swojej argumentacji potwierdza ten przesąd. Robi kreskę przez całą stronicę, po czym po jednej stronie wylicza typy kobiet **cnotliwych**, po drugiej kobiet **występnych**. Do **cnotliwych** zalicza i hrabinę Fedorę z *Jaszczura*, i ową panią Chabert, która

¹ *Od tłumacza* – wstęp tłumacza odnosi się do całego zbioru opowiadań, który otwiera *Kuratela*, a obejmującego również następujące tytuły: *Facino Cane*, *Sarrasine*, *Piotr Grassou*, *Z. Marcas*, *Granatka*, *Poronienie*. [przypis edytorski]

tak nikczemnie postąpiła z pierwszym mężem, i nawet „mame Vauquer”, właścicielkę pensjonatu z *Ojca Goriot*, która cuchnie wszelką zbrodnią! Przy tej jednak Balzac uważał za potrzebne zrobić ten paradny odsyłacz: „Ta jest wątpliwa”...

Nie wszystkie opowiadania tego zbioru wiążą się tak ściśle z *Komedią ludzką* jak *Kuratela*. Niektóre, jak *Facino Cane*, jak *Sarrasine*, nie łączą się z nią właściwie wcale; pochodzą z wczesnej epoki, kiedy jeszcze idea *Komedii ludzkiej* nie kiełkowała w głowie Balzaka i kiedy romantyczna wyobraźnia młodego pisarza włóczyła się po świecie, gromadząc osobliwe egzemplarze namiętności ludzkich. Później dopiero wpadnie on na tę jakże płodną myśl, aby ścieścić i pogłębić teren obserwacji.

Godne uwagi wreszcie jest ostatnie opowiadanie pt. *Poronienie*, dziś, w dobie walk przeciw morderczym paragrafom, szczególnie aktualne. Opowiadanie to pojawiło się pierwszy raz w zbiorze *Contes bruns* (1832), pióra kilku młodych autorów, wydany bezimiennie i sygnowanym – zamiast nazwiska – ryciną „przewróconej głowy”. Ze zbioru tego, stanowiącego dziś rzadkość bibliograficzną, wyłowił niestrudzony balzakista, Marcel Bouteron, to co w nim było pióra autora *Komedii ludzkiej* i wydał na nowo w r. 1927. Tak więc, dla miłośników Balzaka, nowy ten tom przynosi niejedno, co ich szczególnie zainteresuje. Dla innych, po prostu – pyszną książkę do czytania.

Warszawa, październik 1931.

Kuratela

W r. 1828, około pierwszej w nocy, dwie osoby wychodziły z pałacu położonego przy ulicy **du Faubourg-Saint-Honoré** niedaleko Elyzeum: jedną z nich był sławny lekarz, Horacy Bianchon, drugą jeden z najmodniejszych elegantów paryskich, baron de Rastignac, dwaj starzy przyjaciele². Obaj odesłali powozy, nie było zaś w okolicy żadnej dorożki; ale noc była ładna, a bruk suchy.

– Chodźmy pieszo aż do bulwarów – rzekł Eugeniusz de Rastignac do Bianchona – weźmiesz powóz pod klubem, stoją tam do rana. Odwieszysz mnie.

– Doskonale.

– No i cóż, mój drogi, co powiadasz?

– O tej kobiecie? – odparł zimno doktor.

– Poznaję mego Bianchona – wykrzyknął Rastignac.

– No, co takiego?

– Ależ ty mówisz, mój drogi, o margrabinie d'Espard jak o chorej ze swojego szpitala.

– Chcesz wiedzieć, co ja myślę, Geniu? Jeśli porzucisz panią de Nucingen dla tej margrabin, zamienisz konia z jednym okiem na ślepego.

– Pani de Nucingen ma trzydzieści sześć lat, mój drogi.

– A ta ma trzydzieści trzy – odparł żywo doktor.

– Jej najzaciętsze nieprzyjaciółki dają jej dwadzieścia sześć.

– Mój kochany, kiedy zależy ci na tym, aby wiedzieć, ile kobieta ma lat, patrz na skronie i na koniec nosa. Co bądź by wyprawiały kobiety z kosmetykami, nie zdołają przekupić tych nieubłagalnych świadków ich wzruszeń. Kiedy skronie stają się miękkie, prążkowane, przywiedle w pewien charakterystyczny sposób; kiedy na końcu nosa znajdują się owe drobne punkciki, podobne do niedostrzegalnych czarnych pyłków sypiących się w Londynie z kominów, w których pali się węglem! sługa uniżony, dama przekroczyła trzydziestkę. Będzie piękna, będzie dowcipna, będzie wszystko co zechcesz, ale minęła trzydziestkę, wkracza w okres dojrzałości. Nie ganię tych, którzy się przywiązują do kobiet w tej fazie; ale człowiek tak niepospolity jak ty nie powinien brać lutowej renety za świeże jabłuszko, które uśmiecha się z gałęzi i zaprasza, aby je ukąsić. Miłość nie radzi się metryki; nikt nie kocha kobiety dlatego, że ma tyle a tyle lat, że jest ładna lub brzydka, głupia lub sprytna; kocha się, bo się kocha.

– Otóż ja się kocham dla innych przyczyn. Jest margrabiną d'Espard, jest z domu Blamont-Chauvry, jest modna, ma duszę, ma nóżkę nie brzydszą od księżnej de Berri, ma może sto tysięcy franków renty i wreszcie może się z nią kiedyś ożenić! Słowem, stworzy mi pozycję, w której zdołam może spłacić swoje długi.

– Myślałem, że jesteś bogaty – wtrącił Bianchon.

– Ba! mam dwadzieścia tysięcy franków renty, właśnie tyle ile trzeba na utrzymanie stajni. Wykiwali mnie, mój drogi, w aferze Nucingena, opowiem ci to kiedyś³. Wydałem za mąż siostry, oto najczystszy zysk z tego, co zarobiłem od czasu, jakieśmy się widzieli ostatni raz; wolę wiedzieć, że one mają zapewniony los, niż mieć sto tysięcy franków renty. A teraz, cóż chcesz, abym począł? Mam ambicję. Dokąd mnie może zaprowadzić pani de Nucingen? Jeszcze rok, a będę zaprotokółowany, zadomowiony, jak człowiek żonaty. Mam wszystkie przykrości małżeństwa i wszystkie niewygody kawalerstwa, bez korzyści jednego i drugiego; położenie fałszywe, do którego dochodzą ci, którzy się za długi trzymają jednej spódnicy.

– Et, i wydaje ci się, że tutaj znalazłeś rajskiego ptaka – rzekł Bianchon. – Twoja margrabina, mój drogi, zupełnie mi się nie podoba.

² Horacy Bianchon (...) baron de Rastignac – [patrz:] *Ojciec Goriot*. [przypis tłumacza]

³ Wykiwali mnie (...) w aferze Nucingena – [patrz:] *Bank Nucingena*. [przypis tłumacza]

– Twoje liberalne przekonania mącą ci wzrok. Gdyby pani d'Espard była panią Roubourdin...

– Słuchaj, mój drogi: czy by była szlachcianką czy mieszczką, zawsze byłaby bez duszy, zawsze byłaby najdoskonalszym typem egoizmu. Wierz mi, lekarze przywykli sądzić sprawy i ludzi; najzdolniejsi z nas spowiadają duszę, spowiadając ciało. Mimo tego ładnego buduaru, w którym spędziliśmy wieczór, mimo zbytku tego pałacu, możebne jest, że pani margrabina siedzi w długach.

– Z czego wnosisz?

– Nie twierdzę, przypuszczam. Mówiła o swojej duszy tak jak nieboszczyk Ludwik XVIII mówił o swoim sercu. Słuchaj mnie! Ta kobieta wąła, biała, jasnowłosa, która się skarży, aby jej żałować, posiada zdrowie żelazne, wilczy apetyt, siłę i podłość tygrysa. Nigdy gaza, jedwab i muslin zręcznie nie drapowały kłamstwa! *Ecco*⁴.

– Przerażasz mnie, Bianchon! zatem nauczyłeś się tak wiele od czasu naszego mieszkania u mamy Vauquer?

– Tak, od tego czasu, mój drogi, widziałem, och, ileż widziałem marionetek, lalek i pajaców! Znam trochę obyczaj tych pięknych pań, których pielęgnujemy ciało i to co mają najdroższego, ich dziecko (o ile je kochają) lub ich twarz, którą ubóstwiają zawsze. Spędzasz noce przy ich łóżku, zadajesz sobie nieskończone trudy, aby im oszczędzać najmniejszej skazy, mniejsza o to gdzie; udało ci się to, dochowujesz im tajemnicy jak grób, proszą cię o rachunek i znajdują, że to straszliwie drogo. Kto je ocalił? Natura! Zamiast cię popierać, obmawiają cię, bojąc się, abyś nie został lekarzem której z ich przyjaciółek. Mój drogi, te kobiety, o których wy mówicie: „To anioł!”, ja je widziałem rozebrane z minek, pod którymi kryją swą duszę, jak i ze szmatek, pod którymi skrywają swoje niedostatki; bez manier i bez sznurówki: – nie są piękne. Zaczęliśmy od tego, żeśmy widzieli wiele żwiru, wiele paskudztw pod falą świata, kiedyśmy osiedli na skale u mamy Vauquer; to cośmy tam widzieli, to jeszcze nic! Od czasu jak bywam w wielkim świecie, spotkałem potworności odziane atłasem, panny Michonneau⁵ w białych rękawiczkach, Poiretów w orderach, wielkich panów uprawiających lichwę lepiej od starego Gobsecka! Na hańbę ludzi, kiedy chciałem uścisnąć rękę Cnocie, znalazłem ją drżącą z zimna na poddaszu, ściganą potwarzami, żyjącą z półtora tysiąca franków rocznie i uchodzącą za wariatkę, za dziwaczkę lub za idiotkę. Słowem, mój drogi, margrabina jest kobietą modną, a ja właśnie brzydzę się tym rodzajem kobiet. Chcesz wiedzieć czemu? Kobieta, która ma duszę podniosłą, szlachetny smak, łagodny charakter, bogate serce, która prowadzi życie skromne, nie ma żadnych widoków zostania kobietą modną. A konkluzja? Sam ją wyciągnij. Kobieta modna i męczyzna przy władzy, to dwie analogie; ale z tą różnicą, że przymioty, które wynoszą męczyznę nad innych, podnoszą go i są jego chluba, gdy przymioty, którymi kobieta dochodzi do swego jednodniowego panowania, to są okropne przywary. Wynaturza się, aby ukryć swój charakter; aby wieść bojowe życie świata, musi mieć żelazne zdrowie pod wąłymi pozorami. Jako lekarz wiem, że dobry żołądek wyklucza dobre serce. Twoja modna kobieta nie czuje nic, szął uciech ma swoje źródło w potrzebie rozgrzania jej zimnej natury; chce wzruszeń i użycia, jak starzec wysiadujący przed bramą Opery. Ponieważ ma więcej głowy niż serca, poświęca dla swego tryumfu prawdziwe uczucia i przyjaciół, jak generał posyła w ogień swoich najwierniejszych oficerów, aby wygrać bitwę. Kobieta modna nie jest już kobietą; nie jest ani matką, ani żoną, ani kochanką; to jest płeć w mózgu, mówiąc po lekarsku. Toteż twoja margrabina ma wszystkie cechy potworności, ma dziób drapieżnego ptaka, oko jasne i zimne, głos słodki; jest gładka jak stal w trybach maszyny, porusza wszystko z wyjątkiem serca.

– Jest coś prawdy w tym co mówisz, Bianchon.

– Coś prawdy! – odrzekł Bianchon – sama prawda. Czy ty myślisz, że ja nie odczułem impertynenckiej grzeczności, z jaką dała mi odczuć idealny dystans, jaki tworzy między nami urodzenie? że nie patrzałem z politowaniem na jej kocią przymilność mającą wyraźnie jakiś cel.

⁴ *ecco* (wł.) – oto; tu: „ot, co”. [przypis edytorski]

⁵ *panna Michonneau* (...) – [patrz:] *Ojciec Goriot*. [przypis tłumacza]

Za rok nie napisałaby ani słówka, aby mi oddać najlżejszą przysługę, a dziś wieczór przekarmiła mnie uśmiechami, myśląc, że ja mogę wpłynąć na wujka mego Popinot, od którego zależy wygrana jej procesu...

– Mój drogi, czy wolałbyś, żeby ci nagadała głupstw? Godzę się z twoją filipiką przeciw „modnym kobietom”; ale nie trafiasz w sedno kwestii. Wolałbym zawsze za żonę margrabinę d'Espard od najczystszej, najcichszej, najbardziej kochającej istoty w świecie. Żenić się z aniołem! ależ trzeba by zagrzebać się ze swoim szczęściem gdzieś na zapadłej wsi! Żona człowieka politycznego to maszyna do rządzenia, automat z komplementami, ukłonami; jest pierwszym, najwierniejszym instrumentem, jakim posługuje się człowiek ambitny; słowem, to przyjaciel, który może się skompromitować bez niebezpieczeństwa i którego można się wyprzeć bez konsekwencji. Wyobraź sobie Mahometa w Paryżu, w dziewiętnastym wieku! Żoną jego byłaby jakaś Rohan, sprytna i przymilna jak ambasadorowa, przebiegła jak Figaro. Twoja kochająca kobieta nie prowadzi do niczego, kobieta światowa prowadzi do wszystkiego; jest niby diament, którym mężczyzna kraje wszystkie szyby, kiedy nie ma złotego klucza, którym otwiera się wszystkie drzwi. Zostawmy mieszczuchom cnoty mieszczańskie, ludziom ambitnym przywary ambicji. Zresztą, mój drogi, czy sądzisz, że miłość jakiejś księżnej de Langeais czy de Maufrigneuse, jakiejś lady Dudley, nie daje olbrzymich rozkoszy? Gdybyś wiedział, ile ceny zimne a surowe wzięcie tych kobiet przydaje najmniejszemu dowodowi uczuć! co za radość widzieć pierwiosnek kiełkujący spod śniegu! Uśmiech rzucony spod wachlarza zadaje kłam udanej surowości i wart jest wszystkich niepoohamowanych wylewów twoich mieszczek o hipotetycznej zdolności poświęceń: bo w miłości poświęcenie bliskie jest wyrachowania. Przy tym kobieta modna, z domu Blamont-Chauvry, ma też swoje atuty! Jej atuty, to majątek, wpływy, blask wzgarda dla wszystkiego, co jest poniżej niej...

– Dziękuję – rzekł Bianchon.

– Stary mieszczuchu! – odparł, śmiejąc się, Rastignac. – No, nie bądź pospolity, rób jak twój przyjaciel Desplein: zostań baronem, bądź kawalerem orderu św. Michała, zostań parem Francji i wydaj swoje córki za książąt.

– Wolałbym, żeby pięćkroć sto tysięcy diabłów...

– Ech, ech, jesteś wielki tylko w medycynie; doprawdy, przykrość mi sprawiasz.

– Nienawidzę tego rodzaju ludzi: pragnąłbym rewolucji, która by nas od nich uwolniła na zawsze.

– Zatem, drogi Robespierre z lancetem, nie pójdziesz jutro do wujka Popinot?

– Owszem – rzekł Bianchon – kiedy chodzi o ciebie, poszedłbym z wiadrem po wodę do piekła...

– Drogi przyjacielu, rozczulasz mnie; przysiągłem, że margrabia dostanie się pod kuratelę! Patrz, jeszcze znajduję w oku jakąś starą łzę, aby ci podziękować.

– Ale – ciągnął Horacy – nie przyrzekam ci, że coś wskóram u Jana Juliusza Popinot⁶. Ty go nie znasz! Przyprowadzę go pojutrze do twojej margrabiny, niech go omota, jeśli zdoła. Wątpię. Wszystkie trufle, wszystkie księżne, wszystkie pulardy i wszystkie gilotyny mogłyby się tam znaleźć w całej krasie swoich pokus; król mógłby mu przyrzec parostwo, Pan Bóg mógłby mu ofiarować inwestyturę raju i dochody czyśćca; żadna z tych potęg nie uzyskałaby od niego, aby przeniósł bodaj ździebełko z jednej szali na drugą. On jest sędzią, tak jak śmierć jest śmiercią.

Dwaj przyjaciele przybyli pod Ministerium Spraw Zagranicznych na rogu bulwaru **des Capucines**.

– Jesteś u siebie – rzekł Bianchon, śmiejąc się i pokazując pałac ministra. – A oto mój powóz – dodał, pokazując dorożkę. – W ten sposób streszcza się dla każdego z nas przyszłość.

– Będiesz szczęśliwy na dnie wód, gdy ja będę zawsze walczył na powierzchni z burzami, aż w końcu, tonąc, przyjdę cię poprosić o miejsce w twojej grocie, mój stary!

⁶ Jan Juliusz Popinot – [patrz:] Cezar Birotteau. [przypis tłumacza]

– Do soboty – odparł Bianchon.

– Do soboty – rzekł Rastignac. – Przrzekasz mi Popinota.

– Tak, uczynię wszystko, na co mi pozwoli moje sumienie. Może ten wniosek o kuratelę kryje jakie małe **dramorama**, aby sobie przypomnieć tym słówkiem nasze dobre złe czasy.

– Biedny Bianchon! to będzie zawsze tylko porządny człowiek – powiedział sobie Rastignac, patrząc za odjeżdżającą dorożką.

– Rastignac obarczył mnie najtrudniejszą z negocjacji – mruknął Bianchon, przypominając sobie przy obudzeniu delikatne zlecenie, jakie mu powierzono. – Ale nigdy nie prosiłem wuja o najmniejszą usługę w sądzie, a zrobiłem dla niego więcej niż tysiąc wizyt *gratis*. Zresztą my między sobą nie robimy ceremonii. Powie mi tak albo nie, i sprawa skończona.

Po tym małym monologu, sławny doktor skierował się, już o siódmej rano, na ulicę **du Fouarre**, gdzie mieszkał Jan Juliusz Popinot, sędzia przy trybunale pierwszej instancji departamentu Sekwany. Ulica du Fouarre, wyraz, który oznaczał niegdyś ulicę de la Paille, była w trzynastym wieku najznamienitszą ulicą Paryża. Tam znajdowały się gmachy uniwersyteckie, kiedy głos Abelarda i Gersona rozlegał się w uczonym świecie. Dziś, jest to jedna z najbrudniejszych ulic dwunastego okręgu, najbiedniejsza dzielnica Paryża, ta, w której dwie trzecie ludności nie ma drzewa w zimie, która najwięcej dostarcza dzieci Podrzutkom, najwięcej chorych szpitalom, najwięcej żebraków ulicy; która wysyła najwięcej szmacciarzy na podwórza, najwięcej chorych starców pod mury, gdzie grzeje słońce, najwięcej aresztantów do policji poprawczej. Przy tej ulicy, zawsze wilgotnej, której rynsztok toczy ku Sekwanie brudną wodę z paru farbiarni, znajduje się stary dom, z pewnością odrestaurowany gdzieś za Franciszka I, a zbudowany z cegieł obramionych ciosowym kamieniem. O jego trwałości świadczy konfiguracja zewnętrzna, jaką nierzadko spotyka się w domach paryskich. Jeśli wolno użyć tego słowa, ma on jak gdyby brzuch stworzony wzdęciem, jakie czyni pierwsze piętro, przytłoczone ciężarem drugiego i trzeciego, ale podparte silnym murem parteru. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że ściany między oknami, mimo że wzmocnione obramieniem kamiennym, pękają; ale niebawem obserwator spostrzeże, że z tym domem jest tak jak z wieżą bolońską, stare cegły i stare nadzarte kamienie zachowują niezmożenie swój środek ciężkości. O każdej porze roku, tęgie podmurowanie parteru posiada żółtą barwę oraz ową niedostrzegalną warstwę potu, jaką wilgoć daje kamieniowi. Przechodzień odczuwa chłód, idąc pod murem, gdzie wyszczerbione słupki lichy chronią go od kół kabrioletów.

Jak we wszystkich domach zbudowanych przed epoką powozów, brama tworzy arkadę nadzwyczaj niską, dość podobną do wrót więzienia. Na prawo od tej bramy znajdują się trzy okna opatrzone z zewnątrz kratą żelazną o oczkach tak gęstych, że niepodobna jest ciekawym dojrzeć przeznaczenia wilgotnych i ciemnych izb, przez szyby, brudne zresztą i zakurzone; na lewo dwa podobne okna, z których jedno, czasem otwarte, pozwala dojrzeć odźwiernego, jego żonę i dzieci. Wszystko to kłębi się, pracuje, gotuje, je i krzyczy w brudnej izbie wybitej deskami, gdzie wszystko rozpada się w strzępy i dokąd schodzi się po dwóch stopniach: wyraz stałego podnoszenia się ulic paryskich. Jeżeli, w dzień deszczowy, przechodzień schroni się pod długie sklepienie z wystającymi i bielonymi belkami, wiodące od bramy do schodów, musi go uderzyć obraz, jaki przedstawia wnętrze tego domu. Na lewo znajduje się kwadratowy ogródek, w którym nie da się zrobić więcej niż cztery kroki wzdłuż i wszerz; ogródek z szarą ziemią, gdzie wegetują pędy wina bez liści i gdzie, z braku roślinności, wschodzą w cieniu dwóch drzew papiery, stare szmaty, ogryzki, kawałki cegły spadłe z dachu; ziemia nieurodzajna, gdzie czas rzucił na mury, na pnie drzew i na ich gałęzie ślad pyłu podobny do zimnej sadzy. W dwu prostokątnych skrzydłach, z których składa się dom, okna wychodzą na ten ogródek, wciśnięty między dwa sąsiednie domy, odrapane, grożące ruiną, gdzie na każdym piętrze widnieją jakieś jaskrawe dokumenty rzemiosł uprawianych przez lokatorów. Tu długie rusztowanie podtrzymuje olbrzymie pasma suszącej się farbowanej wełny; tam na dwóch sznurach kołysze się wyprana bielizna; wyżej spiętrzone tomy książek ukazują świeżo marmurkowane brzegi, kobiety śpiewają, mężowie gwizdzą, dzieci krzyczą; stolarz piłuje drzewo, mosiężnik skrzypi

swoim metalem, wszystkie rzemiosła łączą się, aby stworzyć zgiełk, który liczba instrumentów potęguje do obłędu.

Ogólny system zdobniczy tego pasażu, który nie jest ani dziedzińcem, ani ogrodem, ani sklepieniem, a który ma coś z tego wszystkiego, polega na słupach drewnianych wspartych na kamieniu i tworzących łuki. Dwie arkady wychodzą na ogródek; dwie inne, na wprost bramy, ukazują drewniane schody, których poręcz była niegdyś cudem ślusarstwa, a których zużyte stopnie drżą pod nogami. Drzwi każdego mieszkania posiadają odrzwia ciemne od brudu, tłuszczu, kurzu, i są opatrzone drugimi drzwiami, wybitymi utrechckim aksamitem, a usianymi deseniem żółtych gwoździ. Te resztki świetności świadczą, że za Ludwika XIV dom ten służył za mieszkanie jakiemuś rajcy parlamentu lub bogatemu księdzu. Ale te ślady dawnego zbytku budzą uśmiech swoim osobliwym kontrastem między przeszłością a terażniejszością.

Jan Juliusz Popinot mieszkał na pierwszym piętrze tego domu, w którym ciemność, właściwą pierwszym piętróm domów paryskich, potęguje ciasnota ulicy. To stare mieszkanie znane było całemu dwunastemu okręgowi, któremu opatrność dała tego sądownika, tak jak daje zbawcze rośliny, aby leczyć lub łagodzić każdą chorobę. Oto szkic tej osobistości, którą chciała omotać świetna margrabina d'Espard.

W charakterze sądownika, pan Popinot był zawsze odziany czarno: kostium ten czynił go śmiesznym w oczach ludzi przywykłych wszystko sądzić powierzchownie. Ludzie pragnący zachować godność, jaką narzuca ten strój, powinni otaczać go ciągłym i drobiazgowym staraniem; ale przezacny Popinot niezdolny był przestrzegać purytańskiej czystości, jakiej wymaga kolor czarny. Spodnie, zawsze wytarte, podobne były do krepy, materii, z której sporządza się togi adwokackie; długie zaś użycie odcisnęło się na nich mnogością fałdów. Białawe, zrudziałe lub błyszczące miejsca na tej części garderoby świadczyły o brudnym sknerstwie lub o najbardziej zaniedbanym ubóstwie. Grube wełniane pończochy tkwiły – zawsze krzywo – w niekształtnych trzewikach. Bielizna miała ów rudy odcień, jaki daje długi pobyt w szafie, świadczący, iż nieboszczka Popinot miała manię bielizny; flamandzkim obyczajem, zadawała sobie z pewnością jedynie dwa razy na rok kłopot prania. Frak i kamizelka sędziego były w harmonii ze spodniami, trzewikami, pończochami i bielizną. Miał stałe szczęście w swoim zaniedbaniu: w dniu bowiem, w którym wkładał nowe ubranie, dostrajał je do całości swojej toalety, płamiąc je z niewytłumaczoną szybkością. Poczciwiec czekał z kupnem nowego kapelusza, aż kucharka zwróci mu uwagę na zgrzybiałość tegoż. Krawat był zawsze skręcony niedbale; kołnierz skrzywiony pod sędziowskim rabatem. Nie nosił nigdy rękawiczek i pakował zazwyczaj ręce w kieszenie, których brzeg, brudny i najczęściej podarty, podkreślał jeszcze wrażenie ogólnego niechlujstwa. Ktokolwiek bywał w Pałacu Sprawiedliwości w Paryżu, miejscu, gdzie można obserwować wszystkie odmiany czarnego stroju, może sobie wyobrazić wygląd pana Popinot. Zwyczaj siedzenia przez całe dni zmienia mocno ciało, tak samo jak nuda niekończących się obron adwokackich oddziaływa na wyraz twarzy sędziów. Zamknięty w salach niemożliwie ciasnych, szpetnych, bez powietrza, sędzia paryski nabywa z konieczności fizjonomii zgryźliwej, zmiętej od natężenia uwagi, zachmurzonej nudą. Cera jego więdnie, robi się zielonkawa albo ziemista, zależnie od danego temperamentu. Po jakimś czasie najbardziej kwitnący młodzieniec staje się wyblakłą machiną paragrafów, mechanizmem aplikującym kodeks do wszystkiego, z flegmą wagi u zegara. Jeśli tedy natura obdarzyła pana Popinot rysami niezbyt powabnymi, zajęcie nie upiękniło go. Zbudowany był bez wdzięku. Grube kolana, wielkie stopy, szerokie ręce, stanowiły kontrast z księżą fizjonomią przypominającą nieco głowę cielęcą, łagodną aż do mdłości, blado rozświetloną wylupiastymi oczami, bezkrwistą, przeciętą płaskim i prostym nosem, uwieńczoną niemniej płaskim czołem, a ozdobioną parą olbrzymich odstających uszu. Nędzne i rzadkie włosy odsłaniały czaszkę w kilku nieregularnych bruzdach. Jeden jedyny rys zalecał tę czaszkę fizjonomiście. Na ustach tego człowieka oddychała niebiańska dobroć. Były to poczciwe grube czerwone wargi, z tysiącem fałdów, ruchliwe, usta, w których natura złożyła piękne uczucia; usta, które mówiły do serca i które zwiastowały w tym człowieku inteligencję, bystrość, dar jasnowidzenia, anielski rozum; toteż źle by

go osądził ten, kto by go sądził jedynie z płaskiego czoła, z wyblakłych oczu i z całej niewydarzonej postaci.

Życie jego odpowiadało powierzchowności; było pełne tajemnych prac i kryło cnoty świętego. Jego znajomość prawa była tak znana, że kiedy Napoleon reorganizował sądownictwo w r. 1806 i 1811, wówczas, na wniosek Cambaceresa, wpisano Popinota jako jednego z pierwszych kandydatów do sądu apelacyjnego w Paryżu. Popinot nie był intrygantem. Za każdym nowym żądaniem, za każdą nową prośbą, minister odsuwał Popinota, który nigdy nie pojawił się ani u arcy-kanclerza ani u Wielkiego Sędziego. Z Apelacji przeniesiono go na listę zwykłych sędziów trybunału, po czym, przez intrygi ludzi czynnych i ruchliwych, pchnięto go na ostatni szczebel. Mianowano go młodszym sędzią. Powszechny krzyk podniósł się w palestrze: „Popinot młodszym sędzią!”. niesprawiedliwość ta uderzyła cały świat sądowy, adwokatów, komorników, wszystkich, wyjąwszy Popinota, który się nie skarżył. Skoro pierwszy krzyk minął, wszyscy uznali, że dzieje się jak najlepiej na najlepszym z możliwych światów, którym musi być z konieczności świat sądowy! Popinot był młodszym sędzią aż do dnia, w którym najśłynniejszy kanclerz Restauracji pomścił krzywdy wyrządzone temu skromnemu i cichemu człowiekowi przez Wielkich Sędziów Cesarstwa. Spędziwszy dwanaście lat na stanowisku zastępcy, Popinot miał szanse umrzeć jako zwykły sędzia przy trybunale Sekwany.

Aby wytłumaczyć garbaty los jednego z najwybitniejszych przedstawicieli sądownictwa, trzeba nam zapuścić się w pewne szczegóły, które pozwolą odsłonić jego życie, jego charakter, pokazując zarazem niektóre kółka owej wielkiej maszyny zwanej Sprawiedliwością. Trzech prezydentów, których miał kolejno trybunał Sekwany, wpakowało Popinota w szufladkę „praktyka”. Nie zyskał u przełożonych reputacji talentu, którą prace jego zdobyły mu już pierwej. Tak jak malarz bywa nieodmiennie zamykany w kategorii **pejzażystów, portrecistów, malarzy historycznych, morskich lub rodzajowych** przez ogół artystów, znawców lub dudków, którzy, bądź z zazdrości, bądź z despotyzmu krytyki, bądź z przesądów, barykadują go na jednym podwórku, sądząc, że istnieją przegródki we wszystkich mózgach – ciasnota, którą świat stosuje do pisarzy, do polityków, do wszystkich, którzy zaczynają od specjalności, nim ich obwołają uniwersalnymi – tak samo Popinot miał swoje przeznaczenie i został zamknięty w swoim kręgu. Sędziowie, adwokaci, obrońcy, wszystko co pasie się na łąnce sądowej, rozróżniają w każdej sprawie dwa czynniki: Prawo i Słuszność. Słuszność wynika z faktów, prawo jest zastosowaniem zasad do faktów. Ktoś może mieć rację wedle słuszności, nie mieć jej wedle prawa, bez winy ze strony sędziego. Między sumieniem a faktem istnieje przepaść pobudek, nieznanych sędziemu, pobudek potępiających lub usprawiedliwiających fakt. Sędzia nie jest Bogiem; obowiązkiem jego jest dociągnąć fakty do zasad, sądzić wypadki nieskończenie rozmaite, posługując się określoną miarą. Gdyby sędzia miał moc czytania w sumieniu i jego pobudkach, aby wydać sprawiedliwy wyrok, każdy sędzia byłby wielkim człowiekiem. Francja potrzebuje około sześciu tysięcy sędziów: żadne pokolenie nie ma sześciu tysięcy wielkich ludzi na swoje usługi; tym bardziej nie może ich znaleźć dla swoich trybunałów. Popinot był, pośród ludności paryskiej, bardzo zręcznym kadim, który przez dary swoich zdolności i przez usilne tarcie litery prawa o ducha faktów, przejrzał braki doraźnych i stanowczych orzeczeń. Ten jasnovidzący sędzia przenikał powłokę podwójnego kłamstwa, pod jakim strony kryją istotę procesu. Był sędzią tak, jak znakomity Desplein⁷ był chirurgiem; przenikał sumienia, jak ten uczony przenikał ciała. Życie jego i obyczaje doprowadziły go do ścisłej oceny najtajniejszych myśli w drodze badania faktów. Rył się w procesie, jak Cuvier⁸ rył się w *humus*⁹ globu. Podobnie jak ten wielki myśliciel, kroczył od dedukcji do dedukcji zanim przyszedł do konkluzji, i odtwarzał przeszłość sumienia jak Cuvier odbudowywał jakieś *anoplotheria*. Z powodu jakiejś sprawy budził się często w nocy, zaskoczony iskierką prawdy, która błysła nagle w jego mózgu. Uderzony głębokimi niesprawiedliwościami kończącymi walki, w

⁷ Desplein – w *Komedii ludzkiej* Balzaca: wybitny chirurg, nauczyciel Bianchona; patrz: *Msza ateusza*. [przypis edytorski]

⁸ Cuvier, Georges (1769–1832) – zoolog i paleontolog, twórca pierwszej klasyfikacji zwierząt. [przypis edytorski]

⁹ *humus* – szczątki organiczne pozostawione w glebach; próchnica. [przypis edytorski]

których wszystko obraca się przeciw uczciwemu człowiekowi, a idzie na rękę hultajom, orzekał często wbrew prawu na rzecz słuszności we wszystkich okazjach, gdzie chodziło niejako o kwestię wyczucia. Uchodził tedy u swoich kolegów za umysł mało praktyczny; racje jego, obszernie wywodzone, przedłużały zresztą obrady; skoro Popinot zauważył niechęć, z jaką go słuchają, wyrażał swą opinię krótko. Mówiono, że źle sądzi tego rodzaju sprawy; że jednak talent jego w badaniu bił w oczy, że jego sąd był jasny, a przenikliwość głęboka, uznano go za człowieka posiadającego szczególne zdolności do uciążliwych funkcji sędziego śledczego. Miał być tedy sędzią śledczym przez większą część swojej kariery sądowniczej.

Mimo że był doskonale uzdolniony do tego trudnego zawodu, mając opinię głębokiego kryminologa zamiłowanego w swoim fachu, dobroć serca wydawała go ustawicznie na tortury: znajdował się między sumieniem a współczuciem niby w żelaznej obręczy. Jakkolwiek lepiej wynagradzane niż urząd sędziego cywilnego, funkcje sędziego śledczego nie kuszą nikogo, są zanadto absorbujące. Popinot, człowiek skromny i rzetelnej wiedzy, bez ambicji, niestrudzony pracownik, nie skarżył się na swój los: poświęcił dla dobra publicznego swoje upodobania, swoje współczucie, i pozwolił się wygnać w laguny śledztwa kryminalnego, gdzie umiał być zarazem surowy i dobroczynny. Czasami, pisarz jego wręczał podsądnemu pieniądze, aby sobie kupił tytoniu lub ciepłe ubranie w zimie, odprowadzając go z gabinetu sędziego do **Łapki na myszy**, tymczasowego więzienia, w którym trzyma się uwięzionych do dyspozycji sędziego śledczego. Umiał być nieugiętym sędzią i miłosiernym człowiekiem. Toteż nikt łatwiej od niego nie potrafił wydobyć zeznań, bez uciekania się do sądowych sztuczek. Ten człowiek, którego dobroć zdawała się na pozór głupkowata, prosty i roztargniony, przenikał chytrych weteranów galer, paraliżował sztuczki najsprytniejszych dziewcząt i gwałt zbrodniarzy w rękę. Niezwykłe okoliczności wyostrzyły jego przenikliwość; aby je objaśnić, trzeba wejść w jego życie prywatne, bo sędziostwo to była jego strona społeczna; ale był w nim jeszcze inny człowiek, większy, a mniej znany.

Na dwanaście lat przed dniem, w którym zaczyna się ta historia, w r. 1816, podczas owego strasznego głodu, który zeszedł się fatalnie z pobytom tak zwanych Sprzymierzonych we Francji, Popinot był przewodniczącym nadzwyczajnej komisji dla rozdzielania pomocy biedakom w tej dzielnicy. Mianowano go w chwili, gdy zamierzał opuścić ulicę du Fouarre, gdzie pobyt nie podobał się zarówno jemu jak jego żonie. Ten wielki prawnik, ten głęboki kryminolog, którego wyższość wydawała się jego kolegom aberracją, widział od pięciu lat fakty sądowe, nie widząc ich przyczyn. Drapiąc się na poddasza, poznając nędze, śledząc okrutne konieczności, które wiodą stopniowo biedaków do występnych czynów, zgłębiając wreszcie ich długie walki, uczył w sercu współczucie. Ten sędzia stał się wówczas świętym Wincentym a Paulo tych wielkich dzieci, tych cierpiących robotników. Przeobrażenie to nie dokonało się od jednego razu. Dobroczynność ma swoje szczeble, jak wystęпки mają swoje. Miłosierdzie pożera sakiewkę świętego, jak ruletka zjada majątek gracza, stopniowo. Popinot szedł od nieszczęścia do nieszczęścia, od jałmużny do jałmużny; następnie, kiedy uchylił wszystkie łachmany stanowiące dla tej publicznej nędzy niby opatrunek, pod którym jątrzy się gorączkowa rana, stał się, po upływie roku, opatrzością swojej dzielnicy. Został członkiem komitetu dobroczynności i biura dobroczynnego. Wszędzie gdzie były jakieś bezpłatne funkcje do spełniania, przyjmował je i działał bez emfazy, na sposób **człowieka w błękitnym płaszczu**¹⁰, który żyje tym, że nosi zupę tam, gdzie znajdują się ludzie głodni. Popinot miał to szczęście, że działał na szerszej przestrzeni i w wyższej sferze; czuwał nad wszystkim, uprzedzał zbrodnie, dawał robotę niezatrudnionym robotnikom, lokował kaleków, rozdzielał roztropnie zasiłki na wszystkich zagrożonych punktach, stając się doradcą wdowy, opiekunem bezdomnych dzieci, finansistą drobnego przemysłu. Nikt w Sądzie ani w Paryżu nie znał tego sekretnego życia Popinota. Istnieją cnoty tak jasne, że znoszą ciemność; ludzie siłą się schowają je pod korcem. Co się tyczy ludzi, którym świadczył dobrodziejstwa, ci, pracując we dnie i zmęczeni w nocy, niewiele mieli

¹⁰ *człowiek w błękitnym płaszczu* – Edme Champion (1764–1852), głośny filantrop paryski. [przypis tłumacza]

sposobności, aby go wysławiać; byli niewdzięczni jak dzieci, które nigdy nie mogą się wypłacić, bo za wiele są dłużne. Istnieją musowe niewdzięczności; ale czyż serce, które sieje dobro, aby zebrać wdzięczność, mogłoby się mienić wielkim? Od drugiego roku swego tajemnego apostołatu, Popinot zmienił na rozmównicę magazyn na parterze w swoim domu, ten, który miał trzy okna opatrzone żelazną kratą. Ściany i sufit tej wielkiej izby były wybielone wapnem, urządzenie składało się z ławek podobnych do ławek w szkole, z prostej szafy, orzechowego biurka i fotela. W szafie znajdowały się rejestry dobroczynności, bony na chleb, i dziennik. Prowadził książki handlowe, aby nie dać się oszukać swemu sercu. Wszystkie nędze całej dzielnicy były tam ujęte w cyfry, pomieszczone w książce, gdzie każde nieszczęście miało swoje konto, jak u kupca każdy wierzyciel. Kiedy miał wątpliwości co do jakiejś rodziny, co do człowieka proszącego o wsparcie, sędzia miał do swego rozporządzenia informacje policji. Lavienne, służący stworzony dla tego pana, był jego adiutantem. Wykupywał lub odnawiał kwity lombardowe, biegał w miejsca najbardziej zagrożone, gdy pan jego pracował w sądzie. Od czwartej do siódmej rano w lecie, od szóstej do dziewiątej w zimie, sala ta była pełna kobiet, dzieci, biedaków, którym Popinot udzielał audiencji. Nie było tam potrzeba pieca w zimie; cisnęło się tyle ludzi, że było gorąco; Lavienne kładł jedynie nieco słomy na zbyt wilgotnej podłodze. Po jakimś czasie ławki stały się gładkie jak politurowany mahoń; następnie, na wysokość człowieka, ściana nabrała jakiegoś ciemnego pokostu od łachmanów lub zniszczonej odzieży tych biedaków. Nieszczęśliwi ci tak kochali Popinota, że, kiedy przed otwarciem bramy skupiali się nad ranem w zimie – kobiety grzejące się fajerkami, mężczyźni machający rękami, aby się rozgrzać – nigdy żaden szmer nie zamącił snu sędziego. Szmacciarze, ludzie pracujący w nocy, znali to mieszkanie i widzieli często światło w gabinecie sędziego o niemożliwie późnych godzinach. Złodzieje nawet mówili, przechodząc: **To jego dom**, i respektowali go. Ranek należał do biednych, dzień do zbrodniarzy, wieczór do prac sądowych.

Geniusz obserwacji, jaki posiadał Popinot, był tedy siłą rzeczy dwoisty: odgadywał cnotliwą nędzę, zdeptane dobre uczucia, chybione piękne uczynki, nieznanne poświęcenia, tak jak szukał w głębi sumień najlżejszych zarysów zbrodni, najcieńszych nitek występków, aby zawsze we wszystkim rozróżniać. Ojcowizna Popinota wynosiła tysiąc talarów renty. Żona jego, siostra starego Bianchon, lekarza w Sancerre, wniosła mu dwa razy tyle. Umarła przed pięciu laty, zostawiając majątek mężowi. Ponieważ płaca zastępcy sędziego jest szczupła, Popinot zaś był rzeczywistym sędzią dopiero od czterech lat, łatwo odgadnąć przyczyny jego oszczędności we wszystkim, co dotyczyło jego osoby lub życia, kiedy się widziało, jak skromne były jego dochody, a jak wielka dobroczynność. Zresztą, obojętność na punkcie ubrania, zrozumiała u człowieka tak zaabsorbowanego, czyż nie jest swoistą cechą głębokiej wiedzy, namiętnie uprawianej sztuki, myśli wciąż czynnej! Aby dokończyć tego portretu, wystarczy dodać, że Popinot był z małej liczby sędziów trybunału Sekwany, którzy nie mieli krzyża Legii.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.